

Mieczysław Ostrowski

PUSTA PRZESTRZEŃ

1.

Długo stoimy na wzgórzu i przyglądamy się rozpościerającej się przed nami odkrytej przestrzeni. Obrazowi ziemi i nieba przeniesionemu jakby z innej rzeczywistości.

Ukształtowanie terenu przypomina ogromną, nieco spłaszczoną misę. Na przeciwległym wzniesieniu, w dużym oddaleniu na wprost od nas, za usytuowanym mniej więcej pośrodku wgłębieniem, widnieje nieostry zarys zagajnika. To nasz azymut. A po lewej i po prawej ręce ledwo majaczy na linii horyzontu rozmazane szarozielone pasmo lasu.

Nie widać ludzi, nie ma zabudowań, słupów elektrycznych, jakichkolwiek konstrukcji wykonanych ręką człowieka. Jest tylko opustoszała dal. I nasze narastające zdziwienie.

Jeszcze przypatrujemy się i zastanawiamy, ale już zaraz gruntową drogą biegnącą między łąkami lichutkiego zboża – żyta z jednej strony i pszenicy z drugiej – schodzimy w dół po długim, łagodnym stoku. Na poboczach naszej trasy ciągną się pasy bezładnie rosnącej trawy, z nieregularnie rozrzuconymi dzikimi krzewami.

Idziemy niespiesznym krokiem w jednakowym tempie. Bładoczerwone słońce zawieszona wysoko na wielkim ciemnobłękitnym kopulastym firmamencie niedawno minęło południe. Pokazuje swoje oblicze, uczestniczy w podtrzymywaniu form istnienia, ale nie demonstruje nadmiernego entuzjazmu. Można by pomyśleć, że celowo zaznacza swoją powściągliwość.

Światło dnia jest przygaszone, jakby zupełnie realnie przytłaczał je nieodwołalny nakaz ograniczeń i niemożności. Ciepłe, suche powietrze gęstnieje w całkowitym bezruchu.

Kończą się grunty uprawne i zaczynają nieużytki. Idziemy teraz wąską drożyną pośród wybujałej trawy. Ojciec zagadkowo się uśmiecha, a ja z bratem wciąż nie możemy się nadziwić odmiennością krajobrazu i brakowi odgłosów świadczących o istnieniu człowieka.

Zwała się na mnie swym ciężarem cała nietypowość sytuacji. Uświadamiam sobie, że poruszamy się po skrawku terytorium, na którym obowiązuje jawne zawieszenie zwykłego biegu ludzkich spraw. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że wokół nas czai się jakieś dziwne napięcie. Pulsuje w każdym zakamarku pejzażu i potęguje przygnębiające odczucie porzucenia go przez liczące się sprawcze siły.

No i ta całkowita cisza. Nienaturalna, niespotykana, wszechogarniająca. Wydaje się, że kryją się w niej wszystkie tajemnice tej ziemi, odnoszące się do dalszej i bliższej przeszłości.

Wyostrajają się zmysły i myśli. Od dobrych kilku minut towarzyszy mi nieodparte przeświadczenie, że znajdujemy się w strefie zastopowanego czasu. I w miarę zbliżania się do najniższego punktu niecki coraz bardziej jestem tego pewny. Czas tutaj się po prostu zatrzymał. Nigdzie nie odpływa, stoi. Wygląda jakby skamieniał.

Już trzeci dzień brat i ja przebywamy z ojcem za wschodnią granicą, w jego – jak sam mówi – kraju dzieciństwa i młodości. Ponad sześćset kilometrów od naszego domu.

Tyle razy nam o tej swojej małej ojczyźnie opowiadał. I te opowieści – utkane ze wzruszenia, przywiązania i tęsknoty – ciągle żyją w naszych wyobrażeniach. Dużo w nich ciekawych historii osadzonych w najpiękniejszych miejscach, choć najczęściej, jak się za każdym razem sami przekonujemy, nie mają szczęśliwego zakończenia.

Ojciec od dawna chciał nam te swoje okolice pokazać. Z nadzieją, że wspólny wyjazd stanie się dla nas ważną realizacją wycieczką.

I właśnie teraz, kiedy w szkołach zaczęły się wakacje, wybraliśmy się we trójkę (mama musiała zostać w pracy) w kilkudziesięciogodzinną podróż. Jechaliśmy trzema różnymi pociągami i autobusem, nocowaliśmy na dwóch dworcach, a ostatni odcinek drogi pokonaliśmy pieszo. Aż dotarliśmy do stojącego na odludziu starego drewnianego domu. Domu, w którym nasz ojciec się urodził.

Od przyjazdu tato nieprzerwanie, jeśli nie liczyć snu, jest na nogach. Rozmawia z domownikami, czule dotyka mebli w poszczególnych pomieszczeniach, wychodzi na podwórko, do sadu i do ogrodu. Nachyla się nad studnią z żurawiem i nabiera wody do wiadra. Niespodziewanie nieruchomieje na kilkanaście sekund w zamyśleniu. Zagląda do budynków gospodarczych i niespiesznie obchodzi je. Wypuszcza się na pobliskie pola i krąży po nich, zataczając mniejsze i większe koła. I uśmiecha się pod nosem, jakby wiedział coś, o czym nikt inny nie ma pojęcia. Tak jak teraz, kiedy zmierzamy do sąsiedniej wsi.

W momencie, kiedy dochodzimy do najniższego poziomu terenu, zauważamy – niecałe sto metrów przed nami – wolno poruszającego się piechura. Widać, że to mężczyzna. Kroczy po niewidocznej ścieżce w poprzek opadającej pochyłości, niemal prostopadle do kierunku naszej marszruty. Nie widzi nas, pogrążony zapewne w swoich myślach.

Dostrzega nas dopiero na wysokości przecięcia się obu szlaków i od razu, najwiśdoczniej mocno zaskoczony naszym nieoczekiwanym pojawieniem się, przystaje. Stoi bez ruchu i przypatruje się naszym sylwetkom. Czeka na nas.

Nie zmieniając swojego rytmu, stopniowo przybliżamy się do niego.

– Patrzcie – mówi ojciec – to chyba dobry przykład na to, jakie znaczenie może mieć dla człowieka jego potrzeba kontaktu z bliźnim.

2.

Od tej eskapady minęło kilkadziesiąt lat, ale nadal przechowuję w pamięci związane z nią widoki, jej nastrój i wynikające z niej przesłanie.

Jeszcze przed nią dobrze wiedziałem, jaki był rzeczywisty przebieg zdarzeń w tamtym rejonie podczas drugiej wojny światowej i bezpośrednio po niej. I jaki okrutny los zgotowało rodzinie ojca sąsiednie agresywne państwo.

Że w wyniku jego działań straciła ona swoje dobrze prosperujące gospodarstwo rolne, że została rozbita i rozproszona. Że z powodów politycznych nasza babcia i nasz dziadek, ciocie i stryjowie trafili z wieloletnimi wyrokami do więzień i obozów pracy.

I doskonale znałem niełatwą i żmudną drogę powrotu naszego taty akowca do Polski w nowych granicach.

Ale dopiero fizyczna obecność w tamtej części świata pozwoliła mi wówczas zobaczyć prawdziwy obraz jej degradacji. Poznać rozmiar krzywd, cierpień i upokorzeń, jakie miejscowej ludności zaserwowała przychodząca ze wschodu władza. Zrozumieć skalę zaniechań, utrudnień i obostrzeń, które za jej sprawą na lata zahamowały lokalną aktywność ludzką we wszystkich sferach działalności.

Ta ziemia przeszła pod nadzór nowego zwierzchnictwa i poszerzyła jego stan posiadania. Ale jak na dłoni było widać, że po gwałtownym i radykalnym odrzuceniu poprzedniego porządku w najmniejszym stopniu nie zatroszczyło się ono o stworzenie choćby minimalnych warunków dla jej pomyślnego rozwoju.

Najpierw w przymusowych okolicznościach opuścili ją, poza nielicznymi wyjątkami, jej rdzenni mieszkańcy, a dwadzieścia kilka lat później do najbliższych położonych miast przenieśli się dorosłe dzieci z rodzin, które stąd wcześniej nie wyjechały. I w rezultacie na jej rozległym obszarze powstała i pozostała na dziesięciolecia cywilizacyjna pustynia.

3.

Doświadczenie rodzinne usytuowane w perspektywie wielu podobnych, wcześniejszych i późniejszych, karygodnych praktyk tego imperialnego państwa stało się realnym świadectwem jego hipokryzji. Niosło ono na swoich sztandarach mamiące górnolotne hasła, a w rzeczywistości swoje rządy opierało na stosowaniu przymusu, kontroli i strachu. Nie trzeba było lepszego dowodu na to, że w swojej istocie nie jest ono zorientowane na realizację chwalebnych celów, bo – poza zewnętrznym sztafazem – ani dobrobytu, ani wolności zaproponować nie chce i nie umie.

I taki stan rzeczy trwa do dzisiaj.